

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie	
Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

Od Administracji.

Szanownych prenumeratorów naszych prosimy o uregulowanie przedpłaty za kwartał II-gi. Wszystkie nieopłacone egzemplarze wstrzymamy nieodwołalnie od następnego tygodnia.

ORZEŁ i POGOŃ.

Na otwartej w sobotę ubiegłą w Wilnie wystawie Litewskiego Towarzystwa artystycznego umieszczono sporych rozmiarów rzeźbę, wyobrażającą walkę jeźdźca (wzorowanego z herbu Pogoni) z nadstawiającym drapieźnie pazury orłem. Aby widz nie łamał sobie głowy nad znaczeniem tej rzeźby, twórca jej rzucił na podstawę tarczę z herbami Orła Białego i Pogoni, odejmując przez to swemu dziełu wartość artystyczną, uwydatniając natomiast ukrytą tendencję.

Jakaż to tendencja?

Domyślić się nietrudno, że rzeźbiarz miał na myśli walkę narodu litewskiego z polskim, uważając Pogoń za herb litewski, Orła zaś za polski. Jeżeli tak, inaczej zaś rzeźba nie miałaby żadnego sensu, to przyznać należy, że p. Rymsza użył symbolów niewłaściwych. Pogoń bowiem nie jest godłem narodowym litewskim, lecz herbem W. Ks. Lit., czyli transponując na warunki obecne, całego naszego kraju t. j. Litwy i Białejrusi. Pod znakiem Pogoni mogą więc z równą słusnością występować jak litwini, tak białorusini, jak wreszcie polacy, uważający siebie za obywateli ziem litewsko-białoruskich. Przeciwno więc uzurpowaniu Pogoni na wyłączną własność narodową litewską musimy stanowczo zaprotestować, gdyż upatrujemy w tem intencję odjęcia miejscowemu społeczeństwu polskiemu praw obywatelstwa krajowego.

Dla wszystkich polaków na Litwie i Białejrusi, nie uznających siebie za kolonistów, godło Pogoni jest również drogiem i szacownem jak Orzeł Biały,

będący symbolem Polski. Posługiwanie się więc temi emblematami dla zobrazowania wewnętrznego sporu polsko-litewskiego jest tyleż niewłaściwe, co nielogiczne. Byłoby ono uzasadnione tylko w tym wypadku, gdyby chodziło o przedstawienie walki Litwy z Polską, ale na szczęście o tem jeszcze mowy niema i miejmy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Rzeźba więc p. Rymszy musiała wywołać uczucie głębokiego niesmaku z tego powodu przedewszystkiem, że dla celów poziomych, ze sztuką nie mających nic wspólnego, sprofanowała pewne symbole, które powinny były pozostać nietykalnymi.

„Nie trza świętości szargać, bo trza aby święte były“.

Rzecz zadziwiająca, że na ten szczegół nie zwróciły uwagi nasze dzienniki, które ogłosiły komunikat identyczny, nawołujący do bojkotu wystawy, upatrując w rzeźbie obrazę i prowokację narodu polskiego. Pośpieszny ten wybuch oburzenia świadczy, że solidaryzujące się redakcje nie zastanowiły dostatecznie nad znaczeniem symbolicznej rzeźby i nad treścią swej odezwy. „Pogńbienia—bowiem—polskiego Orła przez litewską Pogoń“ — jak twierdzą „Kurjer Litewski“ i „Gazeta Codzienna“ — rzeźba bynajmniej nie wyobrażała. Walka nie jest jeszcze pogńbieniem, a kto z niej wyjdzie zwycięzca przesądzać, oczywiście, nie sposób. Charakterystycznym jest natomiast owe niedwuznaczne wypowiedzenie się autorów odezwy jedynie przy Orle i wyrzeczenie się niejako Pogoni. Ideologia byłego „Gońca“ święci dziś w „Kurjerze Litewskim“ oraz imitującej go od niedawna „Gazecie Codziennej“ — tryumf zupełny...

Dla nas jednak Pogoń nie straciła nic ze swego uroku i wyrzekać się jej nie mamy najmniejszego zamiaru. Dla tego też niefortunny pomysł rzeźbiarza wywołać musiał przedewszystkiem odrazę, jaką się odczuwa na widok poniewierki czegoś, na co się przywykło patrzeć ze czcią i pijetyzmem.

Komitet wystawowy udzielając miejsca dla tej rzeźby na wystawie postąpił lekkomyślnie, powinien był bowiem przewidzieć, jakie wrażenie wywrze ona na publiczności polskiej. Powoływanie się na względy artystyczne nie jest wystarczającym tłumaczeniem, gdyż rzeźba miała przedewszystkiem charakter tenden-

cyjny. A czyż zresztą w dziedzinie sztuki czystej jest miejsce na poetyzowanie waśni narodowościowych, które są objawem chorobliwym, które tępić należy, nie apoteozować?

Najsmutniejszym zaś jest w tem wszystkim — rozognienie namiętności nacjonalistycznych, jako naturalna konsekwencja zatargu. Z okazji tej nie omieszkają oczywiście skorzystać szowiniści zarówno polscy jak litewscy, by szcuć swe społeczeństwa przeciwko sobie. I ludziom dobrej woli z obu stron należy wyteżyć usiłowania, by nieporozumienie jak najrychlej zażegnać a podsycanemu niesumiennie oburzeniu społeczeństwa polskiego kres stanowczy położyć.

L. A

„WALKA“.

W kilka dni po otwarciu wystawy p. Rymsza potłukł w kawałki swą rzeźbę. Czyn ten, który można uważać poniekąd za ekspijację, omawia w artykule poniższym p. Moksiewiczówna. Zamieszczamy chętnie ten głos, pochodzący z kół młodzieży naszej, jako objaw szlachetny i pożądanego nastroju pojednawczego. Sądźmy bowiem, że młodzieży przedewszystkiem przystoi rola głosicielki ideałów braterstwa i miłości.

Pod tym tytułem została wystawiona na VI-iej litewskiej wystawie sztuk pięknych rzeźba p. Rymszy, wyobrażająca walkę Pogoni z Orłem, którą mogliśmy oglądać przez dni trzy. Dzisiaj już jej niema; sam bowiem artysta zniszczył ją, rąbiąc na kawałki.

Niedługim swem istnieniem rzeźba ta sprawiła zamieszanie, które już zaczęło przybierać groźną postać nowego objawu walki polsko-litewskiej. Zażegnano ją u jej podłoża, lecz kto i w jaki sposób?..

W wystawieniu tej rzeźby (co, trzeba za-

znaczyć, było krokiem nieobmyślonym i niestosownym ze strony naszych braci litwinów, do czego zresztą oni sami się przyznają) upatrzono prowokację, umyślny policzek narodowi polskiemu, tendencję i t. d.

Zbyt bolesne posadzenie i chęć odwetu za tylko nietaktowny krok! A zresztą należy uderzyć się i nam w piersi i szczerze powiedzieć „mea culpa“. Przecie i my nie zawsze zachowywaliśmy ten takt. Nie wydaje mi się bowiem słusznym rzucać pośpiesznie posądzenia w stronę naszych braci, którzy nie mieli możliwości naprawienia swego błędu. A jednak naprawili.

Naprawił sam twórca tego dzieła i to nie głoślownie, a prawdziwie przez krwawą ofiarę.

Czem jest dzieło własne dla twórcy?

— Dzieckiem, wyrazem jego ja, częścią jego duszy, szeregiem dni, zatraconych nad niem, jego mozolną i długą pracą, słowem — kawałkiem jego życia. I oto, to dziecie, to „ja“ artysty — pada pod ciosami toporu własnego rodzica. Zaiste! głęboko musiały posądzenia obejść artystę, głęboko musiał on cenić honor swej sprawy, głęboko i gorąco musiał ją kochać, skoro poświęca w jej imię własną myśl i krew.

Bez słów, niemy czyn wykazał to, czego nie dokonałyby może dziesiątki artykułów i polemik w tej sprawie...

— O ile z punktu artystycznego widzenia można ubolewać nad tragedją zniszczenia własnego dzieła przez artystę, o tyle tę sprawę musimy inaczej potraktować z punktu widzenia naszych stosunków polsko-litewskich. Czyn bowiem p. Rymszy dowiódł, że litwini nie chcą z nami walczyć, że ich głęboko boli i obchodzą podobne, wyżej zaznaczone posądzenia, że, oni, przeciwnie, chcą iść z nami ręką w rękę, a nie zwalczać się wzajemnie.

Mówię tu o litwinach wogóle i wydaje mi się to zupełnie słusznym, gdyż zajadłych szowinistów nie znających uczuć braterskich nie nazwę litwinami, pozostawiając im nazwę... tylko szowinistów. Słowa: litwin, polak — są zbyt drogie sercu naszemu, by nimi obdarzać każdego szowinistę.

Zajście więc na wystawie litewskiej jest fak-

WACŁAW GRUBIŃSKI.

Kochankowie. 2)

HELENA. Żegnam pana. *(wolno oddala się ku lewym drzwiom. Lecz nim zniknęła w sąsiednim pokoju, obejrzała się za siebie i ze zdziwieniem prześlicznie udanem...)* Pan nie odchodzi? Ach nie zna pan drogi. *(chce dzwonić na służbę)*.

WIKTOR *(popatrzył na Helenę, jak obrażony trzecioklasista, i zmierza ku wyjściu)*.

HELENA. Te drzwi prowadzą do buduaru.

WIKTOR. *(zawraca, idzie zawstydzony ku drzwiom przedpokojowym — i wtem się zatrzymał)*. Niech mi pani wybaczy. *(mówi nieśmiało, patrząc błagalnie w piękną twarz Heleny)* Przecież nic złego nie zrobiłem.

HELENA *(nie zdradza zniecierpliwienia)*.

WIKTOR *(odważnie, ujmująco, miękko)* Przy-

szedłem i przedstawiłem się, nic więcej. Czyż można się dopatrzeć w tem obraży?

HELENA. Obrazy? Ach, niema tu o tem mowy. Chociaż w gruncie rzeczy pański niewinny podstęp jest...

WIKTOR *(żarliwie)* I w gruncie rzeczy jest niewinny! Bo jakież mógł za sobą pociągnąć i pociągnął skutki? Skończyło się poprostu na tem, że poznała pani jeszcze jednego jakiegoś człowieka.

HELENA. Ależ nic mi na tem nie zależyl!

WIKTOR. To prawda, no tak, oczywiście... jednak złego w tem nic niema.

HELENA. Owszem.

WIKTOR. Pewna nieformalność.

HELENA. I coś więcej.

WIKTOR. Nie, nic więcej!

HELENA *(delikatnie)*. Chciał się pan przecież narzucić...

tem znamiennym w naszym życiu. Rzuca on nam bowiem w rękę nie kłębka, któregośmy napróżno szukali, ćwicząc się djalektycznie na sprawach miejscowych zajęć. Idąc w taki sposób do celu, nie doszliśmy do niego i nie dojdziemy bodaj nigdy, gdyż będzie on się wciąż tylko oddalał i zniknął przed nami, zasłaniając swe oblicze pełne smutku.

Nie przez polonizację, lub litwinizację możemy się spodziewać rozwiązania sprawy, a przez wiarę w dobrą wolę jednostek i swobodę zupełnie indywidualnego rozwoju każdej z tych kultur.

— My, młode, wyrosłyśmy przy wrzeniu walk i nienawiści partyjnych, więc odczuwamy głęboko obecną sytuację i bolejemy nad nią, ale zarazem wierzymy gorąco, że świt już się zbliża, gdy z dziedzicznych niechęci wykiełkuje ziarno wzajemnego zrozumienia się i ukochanie dobra weźmie górę, i że kiedyś młoda Polska, Litwa i Ruś o świeżych i zdrowych zasobach sił wejdą, jako bratnie i równouprawnione pod każdym względem narody do onego królestwa Bożego na ziemi, wspaniałego nam przez wieszczów.

Zwracamy się więc do Was, społeczeństwa starsze polskie i litewskie, abyście pozwolili nam, młodym, waszym następcom lot nasz ku jaśni szeroko rozwinąć i nie tamowali nam dróg przez sztuczną polonizację, lub litwinizację.

Ujmujmy treść—odrzućmy naleciałość! Wiara, miłość i szczerą chęć, a nie nienawiść i walka — niech będą naszymi hasłami!

Nie bądźmy jednak zbyt optymistyczni, nie spodziewajmy się dla naszego pochodzenia drogi szerokiej, umajonej kwieciami! Przeciwnie, wiemy, że w większości wypadków ciernie nas czekają, ciernie niezrozumienia i nieraz złej woli. Nie zrażajmy się jednak, a śmiało, odważnie, wytrwale i bez ustanku, zmierzajmy do celu! Nie zrażajmy się!..

W. Moksiewiczówna.

Smutne wydarzenie.

Od Zarządu Litewskiego T—wa Sztuk Pięknych otrzymujemy zatytułowany jak wyżej komunikat.

D. 12 maja otwarta została w Wilnie VI litewska wystawa Sztuk Pięknych.

Jak zwykle, na uroczystość otwarcia zaproszeni zostali znani Zarządowi artyści i miłośnicy sztuki oraz redaktorowie pism bez różnicy narodowości, wyznania lub przekonań politycznych. Sądzieliśmy i sądzymy, że wystawy artystyczne służyć mają w równej mierze wszystkim krajowi naszego mieszkańcom.

Wszakże niektórym zaproszonym przez nas gościom oraz zwiedzającym wystawę nie podobało się dzieło Piotra Rymczy „Walka“, przedstawiające walkę pogoni z orłem; jedni mówili, że przez taką ilustrację stosunków polsko-litewskich chciano nie tylko upokorzyć Polaków, ale nawet ich sprowokować, jak to pisały „Kurjer Litewski“ i „Gazeta Codzienna“ i z tych względów nawoływali do bojkotu wystawy, inni zaś wskazywali, że rzeźba ta wprowadza do wystawy pierwiastek polityczny, dla którego nie może być tam miejsca, że ona jątrzy jedną część ludności przeciwko drugiej i t. d.

Niniejszem oświadczamy kategorycznie, że jak Zarząd T—wa, tak również wyznaczone jury wystawowe zapatrywały się na „Walkę“. P. Rymczy, jako na dzieło sztuki i bynajmniej nie miały na myśli jakichkolwiek pomienionych wyżej celów politycznych. Gdy zaś rzeźba została przyjęta na wystawę, Zarząd już się nie czuł w prawie jej usuwać i pozostawił twórcy zupełną swobodę wycofania lub pozostawienia swego utworu na wystawie, nie zważając na żadne inwektywy. Tymczasem ustawiczne napaści i sprzeczne głosy doradzające autorowi z jednej strony wycofanie swego dzieła, z drugiej zaś przeciwnie pozostawienie go na wystawie, do tego stopnia wzburzyły samego Piotra Rymczę, że rozbił swą rzeźbę, tym niespodziewanym sposobem rozwiązując kwestję. Niedosć tego, będąc znerwowanym

WIKTOR. Nie... ja tylko... Zapragnąłem panią poznać, koniecznie, koniecznie! W braku zaś wspólnych znajomych...

HELENA. A właśnie.

WIKTOR (*nie wie co powiedzieć*) Co?

HELENA. Poznać w jakim celu?

WIKTOR (*się potknął*) Iyy... W żadnym.

HELENA. Bezcelowo?

WIKTOR. Niel... nie bezcelowo. (*zakłopotany*) Aby... panią poznać. Nie mogłem pani poznać, dopóki-m pani... nie poznał. Dlatego przyszedłem. Niech mi pani daruje niezdarność wyrażenia... Mówiąc po prostu, przyszedłem do pani — dla pani. Jestem szczerzy. Tak, bez innego powodu. Czyż to nie dostateczny powód chcieć kogoś poznać dla niego samego?

HELENA. Rozbraja pan swoją... młodością.

WIKTOR. Staram się wytłumaczyć. Więc się pani nie gniewa?

HELENA. Zmusił mnie pan do uśmiechu

WIKTOR (*z rozjaśnioną twarzą*) Och, dziękuję!

HELENA. Za co, panie de Toureille?

WIKTOR. Za przebaczenie.

HELENA. Och, ja jeszcze nic nie powiedziałam.

WIKTOR. Przecież pani powiedziała, że zmusiłem panią do uśmiechu.

HELENA. Pan tak pędzi, ponosi, jak stepowy rumak!

WIKTOR. Przepraszam... Bo ja już nic nie wiem (*niewypuszczając kapelusza splótt dłonie aż trzasnęły stawy*). Przed chwilą spadł mi kamień z serca... a teraz... znowu nie wiem, nie wiem czy mi wolno... (*waha się na miejscu, zerknął ku drzwiom*).

HELENA. Wygląda pan na zmęczonego (*taskawie wskazuje na krzesło*). Usiądźmy.

WIKTOR. (*siadł skwapliwie*).

(*Kłopotliwe milczenie*).

i uważając inne swe prace za o wiele mniej wartościowe od zniszczonej, rozbił jeszcze dwie rzeźby: „Staruszkę“ i „Modlitwę“.

Wydarzenie — godne ubolewania.

Dzieła sztuki można potępiać, można chociażby najostrzej krytykować, lecz nie można ani twórcy, ani tembardziej Towarzystwu narzucać tendencji, prowadzących tylko do zaognienia waśni pomiędzy polakami i litwinami, od których to tendencji nasze T—wo Sztuk Pięknych zawsze chciało i chce być wolnem.

Zarząd Lit. Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Listy z Warszawy.

Cisza przed burzą. — Pogrzeb B. Prusa.

Po chwilowem żywszem zainteresowaniu się prasy warszawskiej sytuacją przedwyborczą, które przejawilo się w kilku artykułach wyraźnie polemicznych i w kilku silniejszych reakcjach na rzucone hasła i prognozyki — znów zapanowała cisza na całej linii.

Możnaby oczywiście tę ciszę, jak każdą ciszę zresztą, nazwać ciszą przed burzą. Kwestja jest tylko, czy burzę sprowadzą najbliższe wybory, czy, inaczej mówiąc, sprowadzą one ukonstytuowanie sił dostateczne, aby mogła się stoczyć walka regularna, odpowiadająca istotnemu nastrojowi ludności warszawskiej.

Z ciszy chwilowej, kryjącej w sobie pewne przygotowania konkretne, niedostępne jednak jeszcze dla szerszych mas, trudno wywnioskować coś, co zdolneby było rzucić światło szersze na sytuację.

Obóz postępowy milczy dotychczas. Poza „Nową Gazetą“, w której ukazał się szereg artykułów programowych, obejmujących całokształt zadań postępu polskiego, w stosunku do najważniejszych zagadnień społecznych i politycznych doby, żadne pismo lewicowe nie wypowiedziało

się jeszcze. W poprzednich moich listach wskazałem już na rozdwojenie panujące w obozie postępowym Królestwa.

Artykuły p. St. A. K. w „Now. Gaz.“ na uboczu pozostawiają — narazie przynajmniej — stronę praktyczną zadań doby najbliższej i zrzekają się misji dyplomatycznej pojednania przeciwnych obozów. A misja dyplomatyczna wymagać będzie nielada zręczności i taktu. Utworzenie bloku postępowego i usunięcie animozji, wywołanych przez p. Niemojewskiego i jego uczniów, musi się oprzeć na rezygnacji z wielu postulatów, które były jabłkiem niezgody w chwili pojawienia się przełomu na lewicy. Wiadomo dobrze, że nasz temperament mało nadaje się do polityki rezygnacji lub choćby ustępstw tylko.

Dalszy rozwój tedy stosunków w miarodajnych kołach postępowców polskich wskaże, jak daleko posunąć się może zdolność do ofiar z ambicyjek koteryjnych w imię dobra ideałów najogólniejszych, odpowiadających całym już masom narodu.

Zbliżające się wybory nie wymagają może bezwzględnego pojednania żywiołów radykalnych Królestwa, z racji nader uproszczonego wyglądu spraw wyborczych. Bez względu na to, czy pojednanie nastąpi, czy nie, projektowana w Warszawie kandydatura zdoła skupić około siebie wszystkie głosy, skłaniające się ku postulatowi demokratycznym i postępowym. Wybory do czwartej Dumy nie powinny jednak być traktowane w sposób, któryby nie łączył się ściśle ze wskazaniami programowymi.

Pomijając już sam fakt, że akcja regularna i owocna musi bądź co bądź opierać się na jedności surowej i na dążeniach skoordynowanych, że tylko taka akcja jest zdolna dokonać dzieła trwałego i opracować dzieła takiego metodą, należy zwrócić uwagę na siłę wewnętrzną momentu, wyróżniającego się w naszym ospałym życiu publicznym.

Moment ten, niezależnie od wyniku jego walk, powinien być punktem wyjścia dla pracy dalszej. Jeśli upór i zaciekłość sejmikowa marzyć nie pozwala w powolnym biegu dni powszednich o akcji

WIKTOR. Tak... Ja... tak... Jeszcze się boję... Chciałbym... (*oczy mu goreją*), najpierw chciałbym panią przeprosić... teraz, kiedy już jesteśmy znajomi... (*wstydlawy pótukton*). Przepraszam

HELENA. Więc pan z Warszawy.

WIKTOR. Tak, z Warszawy. Ojciec mnie tu przywiózł przed pół rokiem. Będę w Paryżu kończył wyższy zakład politechniczny (*nie może usiedzieć*). Ojciec sobie życzy, abym się rozejrzał po Europie... Rozglądam się, jak umiem.

HELENA. To znaczy, że pan na dłużej wyjechał z kraju.

WIKTOR. Na kilka lat.

HELENA. I matka pana puściła?

WIKTOR. Nie mam matki.

HELENA (*po chwili*). Musiała pana bardzo kochać.

WIKTOR. Dlaczego?

HELENA. Bo pan jest... urwis, a takich synów ogromnie się kocha.

WIKTOR. Miałem dwa lata, kiedy umarła.

HELENA (*opuściła chusteczkę*).

WIKTOR (*szybko ją podniósł i podał*).

HELENA. Co za niepokój w ruchach!

WIKTOR. Nie zawsze... dzisiaj... Jestem najszczęśliwszym z ludzi!

HELENA. Co pan mówi?

WIKTOR. Ja się hamuję, ale chce mi się śmiać z radości, dokazywać, skakać! Niech mi pani przebaczy ten niewczesny wybuch — ja o tej chwili marzę od miesiąca!

HELENA (*z wesołym wyrzutem*). Panie de Toureille, o jakiej chwili?

(c. d. n.)

pojedynczej, entuzjazm szlachetny okresu wyborczego dokonać może dzieła, niezbędnego dla normalnego rozwoju dążeń postępu. Zbytecznym jest wskazywać, jak fatalny wpływ wywiera rozdwójenie w szczupłym obozie radykalnym, jak utrudnia orjentację masom, nie wyrobionym politycznie i jak ułatwia robotę reakcji.

Spodziewać się tedy należy, że żywioły postępowe Królestwa wyzyskają zbliżający się okres, aby skoordynować rozproszone usiłowania pod znakiem swych haseł wspólnych i najogólniejszych. Już pojawiają się pierwsze symptomy tendencji takiej i spodziewać się należy, że zdrowy rozsądek i dobra wola uczynią, co jest w ich mocy.

Moment wymaga tego i moment nasuwa okazję.

Milczeniu w obozie postępowym towarzyszy milczenie secesji narodowo-demokratycznej. Organ elementów najświatlejszych tego nieukonstytuowanego jeszcze — jak się już raz wyraziłem, ku radości publicysty z „Głosu Warszawskiego“ — stronnictwa, mianowicie, wychodzący od niedawna „Tygodnik Polski“ nie przeszedł jeszcze z roli krytyka do pracy twórczej. Znaleźliśmy już na łamach tego kulturalnego i nawskreś europejskiego organu wiele trafnych i trzeźwych sądów o sytuacji obecnej i o polityce wewnętrznej dotychczasowej, na próżno szukamy jednak wskazań konkretnych, których oczekują bardzo liczne koła Warszawy, pozostające do niedawna pod mocą haseł p. Dmowskiego. Kwestja, jak daleko posunie się t. zw. fronda, należy do najważniejszych zagadnień chwili i rozwiązanie tego zagadnienia może pociągnąć za sobą daleko idące konsekwencje w życiu politycznym Królestwa.

W równaniu politycznym o wielu niewiadomych bez zmiany pozostają tylko polityka realna i Demokracja Narodowa, które przy swych postulatach trwają wytrwale. Dla jasniejszego wypowiedzenia się „realne“ „Słowo“ dokonało fuzji z ultra-klerykalnym „Dziennikiem powszechnym“, solennie przyrzekając prenumeratorom „Dziennika“, iż żaden zawód nie spotka ich przy czytaniu szpał zjednoczonego „Słowa—dziennika powszechnego“. Nie wątpimy!

* * *

Nie powinno dziwić moich czytelników jeśli słów parę poświęcę pogrzebowi Bolesława Prusa. Dziwny to kraj i dziwne zaprawdę warunki, w których pogrzeb zasłużonego męża zalicza się do wydarzeń politycznych.

Nędza życia publicznego i niemożność wypowiedzenia się doprowadza społeczeństwo nasze do przejawów karykaturalnie zewnętrznych i śmiesznych może dla oka niewtajemniczonego. Cudzoziemiec, patrzący na tłumy niezliczone, na setkę z górą delegacji, na nastrój dziwnie uroczysty, kiedy trumna z prochami autora „Kronik“ i „Placówek“ dążyła ku Powązkom, dziwiłby się niezwykłej kulturze literackiej społeczeństwa naszego. Znaczyłoby to, że cudzoziemiec ten nie rozumie języka symbolów społecznych.

Prus, którego zresztą Warszawa otaczała zawsze czcią jaknajgłębszą i uznaniem zasłużonem, nie był jednak wyłączną myślą niezapomnianego dnia pogrzebu. Dzień ten był świętem prawdziwym. A święto to było nie tylko dla Prusa, ale i przez Prusa. Było to ostatnie jego dzieło — dzieło niezwykłe w swej mocy i wyrazistości.

Warszawa, a z nią kraj cały, ukazały się jak jeden mąż na ulicach i niezrozumiały język symbolów stał się nagle nowym jasnym, trzeźwym i nie pozostawiającym żadnych wątpliwości.

Ulice Warszawy w dzień pogrzebu Prusa przedstawiały widok wymowny. Niech nikt się nie dziwi, iż na tym pogrzebie zaobserwowano brak nastroju przygnębienia. Był to doprawdy dzień radosny, bo dzień, w którym Warszawa przemówiła. A Warszawa przemawia rzadko.

P. M.

Nędza mieszkaniowa.

Paryż w maju.

Kilka razy już spotkać można było na ulicach Paryża dziwny pochód: kilku robotników grających na źle dostrojonych instrumentach znane melodie rewolucyjne, za nimi kilka (często jeden tylko) wózków, wyładowanych rupieciami, kilku i kilkudziesięciu ludzi dźwigających rondle, części umeblowania, dzieci nieletnie. Pochód drogą naturalną powiększał się na ulicach. Początkowo przechodzień, przypadkowy świadek tych ewolucyj ulicznych pytał o przyczynę pochodu i w odpowiedzi słyszał nazwisko pana... Cochon „sekretarza komitetu lokatorów“. P. Cochon*), mianowicie, socjalista, zorganizował komitet dla zwalczania egoizmu kamieniczników i każdego wyrzuczonego z mieszkania lokatora przeprowadza tryumfalnie przez miasto. Znajdowali się dobrzy ludzie, znalazł się komedjopisarz, który dla kawału, wreszcie prefektura policji, którzy w lokalach pustych dawali przytułek rodzinom obciążonym dziećmi. O tych pochodach oryginalnego karjerowicza generis... *swis* pisano wiele, dzienniki podawały ilustrację pochodów, a że policja czujna interwenjowała w każdym wypadku, tedy zajmowały się niemi i sądy. Zespół tych wszystkich czynników skierował reflektory opinii publicznej na nędzę mieszkaniową Paryża. Ta nędza jest istotnie, nader wielka.

Przykro czuć się musi obywatel Paryża gdy czyta o smutkach, których istnienia nie podejrzewa. Mieszka sobie zacisznie, choć ciasnawo w domu przy ulicy Madame, Assas, albo des Saints Péres. Na schodach jest dosyć ciemno, ale chodnik tłumi kroki rzadkiego przechodnia i pięterka takie niewysokie. Rozłożysta konsierżka ma dla każdego dobrego lokatora uprzejme słowo. W każdym mieszkaniu jest piesek albo kotek, często po parę piesków i kotków. *Dzieci jest mało albo niema ich wcale.* Fortepian odzywa się rzadko i grają na niem zwykle nietrudne melodie, do których przywykło ucho niewybredne rentiera. Szanowny episier czyta rano gazetkę i dowiaduje się, że pan (uczciwszy uszy) Cochon znowu urządził

*) Śmieszny ten „towarzysz“ szybko skończył karierę. Po kilku tygodniach krzykliwych przeprowadzek, postawił kandydaturę swoją z dzielnicy, reprezentowanej przez socjalistę w Radzie miejskiej. Liczył, że popularność pomoże mu zwyciężyć konkurenta, również socjalistę. Na zgromadzeniu wyborczym został skrzyuczany, obity i wyrzucony na ulicę. Ow komitet wyparł się swego przewodniczącego. Pan Cochon oświadczył wtedy, że zakłada inny komitet lokatorów. Są różne sposoby robienia kariery politycznej!

pochodzik; śpiewano, wyklinano trochę *le Vautour*, szanownego pana Sępa, tak nazywają w Paryżu kamieniczników. Pan Episier zżyma się: to wszystko robią anarchiści. I pan Episier martwi się. Co pomyśli cudzoziemiec? Anglicy gotowi nie przyjechać; jego przyjaciel hotelarz z prawego brzegu Sekwany straci. Opinia Paryża, „stolicy świata“, „miasta-słońca“—upadnie. Wylewy Sekwany, [później bandyci, teraz znowu imé pan Cochon (tful!), gluche poszumy Pierwszego Maja — Pan Durand czy Duval czy Dupont, słowem pan Kozłowski albo Kowalski martwi się. Jest bardzo dumny z Paryża! Oglądał przecie na własne oczy króla Sjamu, jadącego obok pana Fallières'a w lasku bułońskim, widział Wilhelminkę holenderską, księcia Walji. Lubieżnie spoglądał też na automobil Vanderbilta koło herbaciarni Rumpelmeyera. Niemal koło tego automobilu zebrało się Durand'ów, cierpliwie oczekujących na powrót z Tea-Room'u nababa amerykańskiego. Policjant nie interwenjował. Wszak to spokojni i szlachetni płatnicy podatkw! Opowiadał nawet, jak wygląda fox-terrier'ek pana Vanderbilta. Policjant był uczony: mówił, że pan Morgan jest jeszcze bogatszy i że kupił nawet *Jocondę*... Przeklęty ten Cochon, myśli pan Duval gotów nam przepędzić tych bogatych przyjaciół i skierować ich do Berlina. W tem miejscu p. Duval czuje w sobie nienawiść do Niemców i sentymentalnie przypomina sobie o braciach alzackich, cierpiących w niewoli niemieckiej...

Zart na stronę, kwestja mieszkaniowa jest istotnie paląca i mocno trzeba się dziwić, że tak mało uczyniono w Paryżu w ciągu ostatniego czterdziestolecia, aby jej grozę nieco ułagodzić. W ciągu lat 25-ciu wydano zaledwie 30 milionów fr. na domy robotnicze; więcej uczyniono w Londynie, w Manchesterze, w Liwerpoolu, więcej w Niemczech. Zdawałoby się, że tu pod rządem demokracji, powszechnego prawa wyborczego, tyrantji wyborcy, że tu więcej należałoby spodziewać się, niż gdzieindziej, gdzie wyborca myśleć musi o tem, jak się panem sytuacji zostaje, jak się postami rządzi, przywileje materialne zdobywa... Drożyzna mieszkaniowa wzrasta z roku na rok. Ankieta urzędowa wykazała z roku 1911, że na siedem tysięcy mieszkań zbadanych w 35 dzielnicach Paryża komorne w mieszkaniach poniżej 250 fr. podniosło się od r. 1900 o 19,5 proc., w mieszkaniach o cenie 250 — 500 fr. — o 15,7 proc., od 500 — 1000 fr. o 11,5 proc., w mieszkaniach od 1000 — 2500 franków o 8,3 proc. Drożyzna jest tedy powszechna, jednak najdotkliwiej uderza w mieszkania małe, najboleśniej dotyka ludność ubogą. Renta gruntowa od roku 1890 wzrosła w trójnasób, w stosunku 90 (1890) : 217 (1900) : 277 (1910). Płaca robocza wzrosła o 25 proc., cena materiałów o 18 proc. Przedsiębiorcy nie chcą budować domów o małych mieszkaniach. Od r. 1890 — 1901 ilość mieszkań o cenie poniżej 500 fr. wzrosła o 89,555 jednostek, od r. 1901 — 1911 — ta sama grupa mieszkań wzrosła tylko o 45,252 jednostek. Ilość małych mieszkań wolnych zmniejsza się stale. W r. 1899 było 26,226 o cenie poniżej 500 fr. w r. 1905 — było ich tylko 15,814, w r. 1910 — 8721, w 1911 — 6182; w r. 1912 — 3663. Ludność Paryża wzrasta z roku na rok od 15 do 25 tys. mieszkańców zaś ilość mniejszych mieszkań zmniejsza się od roku 1906 o 2 tys. corocznie.

Drożyzna mieszkaniowa daje się we znaki przede wszystkim rodzinom robotniczym, obar-

czonym dziećmi. Tym już było ciężko koniec z końcem związać. Większe komorne zmusza do unikania mieszkania w dawnej cenie. Nikt nie uwierzy, gdzie te rodziny znajdują dla siebie schronienie. Na przedmieściach wielkiego Paryża, albo w zapomnianych od bogów kątach śródmieścia, w dzielnicach, w których tuberkuły niszczą corocznie trzecią część ludności, zwiedzaliśmy niektóre z tych ulic: w Plaisance, koło Buttes-Chaumont, koło kościoła Saint-Paul, koło placu Maubert. Te osobliwości nie są wskazane u Baedekera, a już napewno nie są gwiazdką podkreślone. Podwórza ciasne, bezsłoneczne, pełno w nich jam, wypełnionych cuchnącą wodą; schody zapadłe, niepewne, korytarze wilgotne, tapety zwisające ze ścian ciasnych, ciemnych izdebek. Jest to królestwo tuberkułów. Oto rodzina, obciążona ośmiorgiem dzieci. Najstarsze dziecko liczy lat piętnaście. Ojciec zarabia sześć franków dziennie. Gdy ósme dziecko przychodziło na świat, wyrzucono ich z dawnego mieszkania; szukali wszędzie innego, wreszcie z rozpaczą wprowadzili się do wilgotnego warsztatu: sześć łóżek dla dziecięciu osób wydłuża się obok siebie; warsztat nie posiada okna, zastępują je drzwi, a we drzwiach stoi zawsze kałuża wody. Gdzieindziej małżeństwo robotnicze zajmuje izbę wielkości dwunastu metrów kwadratowych dla siebie, dwu dorosłych córek i niemowlęcia. Z otworu wyrąbanego w górnej części ściany splywa smutne światło na nędzę schroniska. W ciągu lat trzech zmarło tym ludziom w tej izdebce—sześciorgo dzieci.

Rodzina buchaltera mieszka w pięciorzędnym, podejrzanym hoteliku. Ojciec zarabia 150 fr. miesięcznie. W ciągu lat dwunastu urodziło im się siedmiorgo dzieci. Z rozkazu prefektury policji musieli opuścić dawne mieszkanie. Higjenista miejski uważał, że mieszkanie jest za ciasne dla dziewięciorga istot żywych. Szukali trzech pokoiów za cenę 350 franków. Nie znalazło się ani jednego konsierza w trzech olbrzymich dzielnicach Paryża, któryby chciał przyjąć tak liczną rodzinę. W domach fundacji Rotszylda chciano ich przyjąć tylko do mieszkania w cenie 490 franków; nie mogli zgodzić się na taką cenę, wiedząc, że nie zapłacą jej, nie zadłużając się. Musieli szukać schronienia w hotelu, gdzie drżą o moralność dzieci, bojąc się przykładu nocnych scen, gdzie drżą o przyszłość córek.

Właściciel domu nie lubi dzietnych małżeństw robotniczych. Woli kawalerów, albo małżeństwa bezdzietne. Ryzyko mniejsze, wypłacalność małej rodziny większa. Jeżeli właścicielowi jest wszystko jedno, konsierż jest nieubłagany; dzieci hałasują, trzeba po nich wciąż sprzątać, wszędzie ich pełno, kłócące się dzieci wywołują kłótnie rodziców. Trzeba przebłagać wstręty konsierzów: trzeba im się opłacać. Nie wszyscy mogą płacić łapówki. Gospodarz wreszcie boi się licznej rodziny: nie chce przystać komornika, obawia się złych języków, interwencji osób dobroczynnych. Zdąrzył się, że konsierż odnajmuje mieszkanie rodzinie, obciążonej dziećmi, pod warunkiem, że dwoje dzieci będą na jego usługi... Gdzieindziej robotnik obszedł 42 domy w poszukiwaniu mieszkania. Odmowa, wszędzie uzasadniona ilością dzieci (ośmiorgo, a z tych najstarsze lat dziesięć). Wreszcie zdecydował się skłamać: ma tylko troje. Wprowadził się zrana, dzieci schowano za dnia, w nocy sprowadzono do mieszkania. Nazajutrz wydał się podstęp. Gospodarz wymówił mieszkanie i aby upewnić się, że robotnik istotnie wyprowa-

dzi się, ofiarowuje mu zwrot kosztów przeprowadzki.

Nie brak organizacji społecznych w Paryżu, które zamierzyły leczyć tę ranę wielkomięską. W rezultacie uczyniono niewiele. I co ciekawsza, do niedawna, wielkie domy, zbudowane sumptem tych towarzystw („Postęp“, „Fundacja Rotszyldów“ i t. p.), zajmowane były przez rodziny nie posiadające licznych dzieci. Dopiero niedawno zwrócono uwagę na ten dziwny fakt, że towarzystwa budowlane mijają się z celem swoim, jeżeli przede wszystkim nie starają się one stworzyć schronienia dla rodzin, obarczonych największą ilością dzieci. Powstało Towarzystwo („Société des logements économiques pour familles nombreuses“), które ma na celu wynajmowanie mieszkań rodzinom, liczącym conajmniej ośmioro dzieci. W jego domach mieszka 380 rodzin, liczących 2605 osób (t. j. około pięciorga dzieci na rodzinę). Pokój kosztuje w tych domach sto franków rocznie. Towarzystwo daje dochodu 4,75 proc. (od kapitału dwa i pół miliona franków). „Fundacja im. Rotszyldów“ z kapitałem dziesięciomilionowym zakupiła olbrzymie tereny w kilku punktach robotniczego Paryża (na dawnym rynku Popincourt, po szpitalu Trousseau, rue de Prague). Pierwszy dom otwarto w 1908 r. Cena pokoju wynosi 110 franków. — Inne fundacje mieszkań robotniczych są mniej bogate. „Groupe des maisons ouvrières“, o kapitale 4 i pół miliona franków zbudowała 4 domy, których zaludnienie wynosi 2 tys. głów. Towarzystwo Dobroczyńności miasta Paryża („Société Philanthropique de Paris“) z zapisów prywatnych dzwignęło kilka domów kosztem 2 i ćwierć miliona fr. Istnieje kilka fundacji („Marjolin et Stern“) dla budowy domów dla młodzieży bezwzględnej. — Z dawien dawna, za przykładem angielskim, powstały Towarzystwa spółdzielcze, przeznaczone dla budowania domów różnych typów („Sociétés Cooperatives“, „S. Anonymes“, „S. civiles“, „S. en participation“). Działalność ich była do niedawna bardzo ograniczona. W roku 1908 liczone ich w całej Francji 238 o kapitale zakładowym 13 milionów franków i pożyczonym 10 milionów. W roku 1906 uchwalono ustawę specjalnie związaną ze sprawą tanich mieszkań. W myśl tej ustawy w każdym departamencie powstaje komitet opieki nad budowaniem domów o charakterze społecznym i utrzymywaniem ich w czystości. Komitetów takich liczą obecnie we Francji 113. Niektóre rozwinęły żywszą działalność (w szczególności w departamencie Bouches du Rhône z inicjatywy Eugienjusza Rostand'a): powołano do życia ruchomą katedrę higieny publicznej, której profesura przenosi się z miejsca na miejsce po całym departamencie, uczy, kontroluje, zachęca, pobudza władze miejscowe do działalności na polu higieny domów.

Co czyni dobroczynność? Daje pomoc w pieniądzu: 10 — 25 franków miesięcznie kobietom, obciążonym dziećmi. Miasto Paryż daje na ten cel 250 — 300 tys. franków rocznie (zapomoga 90 fr. co kwartał dla rodzin ubogich, liczących pięcioro i więcej dzieci). Prefektura Policji rozporządza w tym celu kwotą dwudziestu tysięcy franków. Wiele Towarzystw dobroczynnych czyni w tym względzie zabiegi. Niektóre powołały do życia kasy pomocy, oparte na zasadzie wzajemności przeczności. Są Towarzystwa Wizytatorów, Ligi przeciwko nędzy, „Soutien Français“, „Oeuvres des loyers“ w dzielnicach XI i XVII, fundacje Orville i Nilius, „l'Abri“ (które rozdaje rocznie do stu

tysięcy drobnymi kwotami do 80 fr.). Istnieje też „Oeuvre du mobilier“, założone w okresie ostatniego wylewu Sekwany (1910), które rozdaje ruchomości. Na przedmieściu Levallois-Perret powstała organizacja „La Grande Famille de Levallois-Perret“, która odszukuje rodziny, obciążone conajmniej pięciorgiem dzieci i wyszukuje dla nich mieszkania zdrowe wzamian złych i niewłaściwych, pokrywając z własnych funduszy różnicę w cenie komornego, wywołaną zmianą mieszkania (różnica wynosi przeciętnie sto franków na rodzinę).

Ferrand na kongresie mieszkaniowym (Wiedeń 1910 Bericht ueber den IX. Internationalen Wohnungs Kongres in Wien II, 257) obliczał, że inicjatywa prywatna uczestniczy w przedsiębiorstwach budowania tanich mieszkań w wysokości 25 milionów fr., do czego dodać należy 18 milionów franków, inwestowanych w funduszach kas oszczędności. Ogółem tedy 240 Towarzystw o kapitale 43 milj. fr. Wartość domów, dzwigniętych z tej inicjatywy wynosi 50 milj. fr. Kasa emerytur na starość („Caisse Nationale des retraites pour la vieillesse“) została upoważniona do wypożyczenia stu milionów franków towarzystwom budowlanym na 2 proc. (10 kwietnia 1908).

Obraz ten, nakreślony ręką urzędowego przedstawiciela Francji na kongresie międzynarodowym, odpowiednio wystylizowany — nie odpowiadający tedy rzeczywistości — jest w ostatecznym rachunku smutny. Wielka republikańska Francja, zawsze na czele, gdy chodzi o nowe zdobycze ducha, w dziedzinie prawodawstwa i akcji społecznej pozostaje w tyle za innymi. Co czas pewien budzi się głos sumienia społecznego i zaczyna dzwonić na trwogę. Statystyka oblicza, że śmiertelność zwiększa się w Paryżu od środka miasta do obwodu w sposób niedopuszczalny. W dzielnicy bogatej Champs Elysées wynosi dzisiaj 10 (na 100 tysięcy mieszkańców), w okolicy szpitala Necker'a 78,4, w okolicy cmentarza Père Lachaise 83, na przedmieściu Plaisance 104. Umiera tedy dziesięć razy tyle robotników, co bogaczy... Symbol wymowny, jeden z wielu kultury społecznej, warunków bytu, na których spoczywa z nazwy *demokratyczna* republika. Według obliczenia Bertillon'a żyje w Paryżu dwadzieścia tysięcy rodzin w warunkach mieszkaniowych, niedopuszczalnych ze stanowiska dbałości o zdrowie publiczne. To też, jak rzekliśmy, budzi się sporadycznie sumienie.

Przed laty senator Picot, sekretarz stały Akademii Nauk Moralnych, osobistość powszechnym otoczona szacunkiem, podniósł głos wymowny, zrywający do walki z krzywdą społeczną. „Budujemy pałace, muzea sztuki, urządzamy wystawy, zwracające na słoneczne strony życia Francji uwagę świata — było to w roku 1900, w okresie ostatniej Wystawy Powszechnej — a nie widzimy jak żyje, męczy się robotnik, który na was pracuje, jak giną tysiące dzieci w tej Francji, której ludność nie wzrasta więcej“. Picot w ciągu jednego roku zwiedził pięć tysięcy mieszkań niezdrowych. On teńnął nowe życie w działalność suchotniczą towarzystw budowlanych, starał się obudzić ducha inicjatywy w departamentach. Po nim poszedł Emil Cheysson, słynny, inżynier ekonomista, społeczny działacz. Obaj oni, nie żyjący już dzisiaj, byli konserwatystami. Teraz znowu rozlega się głos, nawołujący do naprawy stosunków. W Radzie miejskiej Paryża, radca miejski, socjalista Ferdynand Brunet, domaga się uchwalenia dwu-

stu milionów franków na budowanie domów robotniczych i zdobywa większość głosów dla tej uchwały (wiosna 1912). W Izbie z inicjatywy posła radykalnego Ch. Dumont'a w tym samym czasie domagają się, aby ustawa z r. 1906 została rozszerzona; aby gminy zdobyły prawo zaciągania specjalnych pożyczek na budowanie domów robotniczych. „Państwo“ francuskie niewiele dotychczas uczyniło w tym względzie. W Niemczech staraniem ministra Posadowsky'ego wniesiono do budżetu Rzeszy w r. 1901 sumę dwu milionów marek, przeznaczoną na budowanie domów robotniczych. Suma ta z roku na rok bywała powiększana. Do roku 1908 wydatkowano z tego funduszu na cel wskazany 35 milionów. Nie ulega wątpliwości, że pomimo niechęci, żywionej przez Francję posiadającą do działalności interwenjującej państwa, pomimo większości kapitalistycznej rad miejskich, większości zwalczającej budownictwo domów robotniczych ze stanowiska konkurencji i w obawie o spadek komornego (!) — i rząd republikański ujawni na tem polu działalność ożywioną.

Tu chodziło o przedstawienie istniejących warunków życia.

Stanisław Posner.

PUSTKA.

*Otom sam na sam z pustką w zielonym tunelu,
Gdzie w sieci gałęzi latarni zapłątane błyski
Migocą, jak te gwiazdy, przez liści strop nizki,
Zastygłe w zimnem pięknie od lat wielu, wielu.*

*Gdzieś w dali szumi miasto, jak wezbrana rzeka,
W dźwięk dzwonek tramwajowych, dorożek staccata,
Gdy wszystko z szmerem tłumy w głuchą pieśń się
splata,*

*Naraz, niby tęsknoty przewodniczy motyw,
O jakimś innym życiu niosąc wieść z daleka,
Mrozącem krew glissandem mknie gwizd lokomotyw.*

*Ach, okryj mię swym płaszczem, mroku-przyjacielu!
Na chłodnem tonie nocy, co na kształt kołyski
Koi serce, rojące całunki, uściski,
Chcę bodaj marzyć tkając o nieznanym celu...*

Aleksander Naworski.

Przytułki noclegowe w Wilnie.

Przykra niespodzianka spotkała tego roku pątników, tysiącami zjeżdżających do Wilna w czasie Zielonych Świątek. Przywykli od kilku lat nocować w murach po-Franciszkańskich, przytułków zastali niespodzianie zamknięty. Gdzie masę te znalazły schronienie — nikt się nie zatroszczył. Łatwo jednak domyślić się, że w tych okolicznościach doskonałe interesy musieli porobić właściciele nor, zwanych zajazdami.

Z inteligencji naszej mało kto o lokalach tych ma jakiegokolwiek pojęcie. Jaskrawy ich obraz

dał nam przed dwoma laty „Tygodnik Wileński“; lecz, niestety, palącą tą sprawą nie zdołał zainteresować sfer, na których ciąży odpowiedzialność za stan sanitarny miasta.

A zdawałoby się, że w Wilnie, gdzie t. zw. „lumpenproletariat“ liczniejszy jest od właściwego proletariatu; gdzie bezdomnych nędzarzy spotyka się literalnie na każdym kroku; w Wilnie, które zapożyczyło od Rosji, prawie nieznaną w innych miastach polskich, typ „byłego człowieka“; gdzie żebractwo zasila prostytutkę ośmioletniemi dziećmi; w Wilnie wreszcie, do którego zbiega się tłumnie biedota włościańska, szukająca w pielgrzymkach kalwaryjskich pokrzepienia ducha — do spraw napilniejszych należy rozciągnięcie jaknajbardziej kontroli nad sposobami gnieżdżenia się całej tej rzeszy. Pozbawiona wszelkiej opieki i racjonalnych urządzeń, staje się ona rozsładkiem przeróżnych chorób, którymi łatwo się zarazi i jeszcze łatwiej je roznosi.

Z tego względu zakłady noclegowe dla biedaków i nędzarzy prywatnego przedsiębiorstwa stanowić nie powinny. Urządzenie ich i utrzymywanie na właściwej stopie należy do zadań społecznych. Tak też do kwestji tej odnosić się zarządy wszystkich miast dobrze gospodarowanych — i to nie tylko w Europie zachodniej, ale również w Rosji. Petersburg i Moskwa posiadają dziś wzorowe przytułki, do których co noc setki bezdomnych się zbiegają.

Niczego podobnego Wilno dotąd nie posiada.

Ma jedynie bezczelną eksploatację, prowadzoną przez właścicieli wspomnianych już zajazdów, oraz bardzo niedołączną, wszystkimi swoistymi wadami obarczoną, filantropję.

By dać pojęcie o owych zajazdach, przypomnę, co pisał o nich p. Wacław Poraj w numerze okazowym „Tygodnika Wileńskiego“:

„Po niewygodnych, wykosławionych schodkach spuszcza się do głębokiej, mrocznej, wilgotnej i chłodnej sutereny. W pierwszej chwili ma się wrażenie, że się znalazło w jakimś składzie towarów, w lodowni, słowem gdzie chcąc, ale nie w lokalu, przeznaczonym dla ludzi. — Wzdłuż ścian, w ilości zuchwale drwiącej z przepisów sanitarnych i higieny, stoją króciutkie kanapki, kryte starą, zniszczoną ceratą. Kanapki te, przepełnione kurzem, obfitujące w mniej lub więcej zwinne, mniej lub więcej złośliwe i natrętne insekty, są właśnie miejscem spoczynku... „Noclegowiec, po zapłaceniu 20 groszy lub złotówki za prawo azylu, otrzymuje z rąk *bałabosty* — niechlujnej i niestęchanie impertynencko traktującej swych gości — poduszkę z wiecznie tąż samą, ohydnie brudną poszewką, dziurawą, obmierzłą koldrą, będącą siedliskiem najrozmaitszego robactwa i mikrobow. Prześcieradło — jest to przedmiot tylko marzeń noclegowca zajazdowego. — Powietrze w zajeździe jest wprost niemożliwe. Przepełnione dymem machorki, wyziewami gorzałki i niechlujnych ciał ludzkich, ledwie rozwidnione lampki kopciuchem — może ono narazić nawet silny organizm na mniej lub więcej poważne dolegliwości narządów oddechowych...“

Wyobraźmy sobie kilkanaście, conajmniej, takich „zajazdów“, z których każdy jest poprostu doskonałą hodowlą gruźlicy, tyfusu i syfilisu, a jasno już rozumiemy, jakie przedstawiają one dla miasta niebezpieczeństwo.

Nie ustępuje im pod tym względem i „filantropijny“ przytułek „Dobrochotnej Kopiejki“ przy

ul. Bernardyńskiej, mieszczący się w dawnym pałacu Sapieżyńskim.

Dawna zbrojownia, mierząca w przybliżeniu 28 kroków wzdłuż i 15 wszerz, posiadająca gdzieś pod pięknym sklepieniem rzeźbione ślady dawnego przepychu, zamieniona została w brudną, ponurą, cuchnącą sypialnię męską i „stolową“ jednocześnie. Oficjalnie za legowisko służą tu ciągnące się dokoła, pod ścianami, złączone ze sobą nary. Oddzielnych pryczy niema. Jest tylko coś w rodzaju szerokiego, z desek zbitego, parapetu. Na nim to układają się noclegowcy w liczbie zupełnie dowolnej. Jeśli ich jest dużo, leżą ściśnięci, jak figi w wianku. Wdychają bezpośrednio powietrze, wydychane przez najbliższych sąsiadów i wzajemnie odstepują sobie przyniesione w łachmanach insekty. Te zaś przenoszą z jednego lokatora na drugiego rozmaite choroby zakaźne.

Wdrapać się na legowisko jest dość trudno. Wskutek tego starcy, ludzie osłabieni lub pijani wala się wprost na podłogę, która właściwie niczem nie jest od nar gorsza: równie brudna, równie twarda i równie wszelkiego pozbawiona posłania. Podłoga zresztą, wobec częstego przepelnienia przytułku, zalegana bywa i przez tych, co się spóźniają. Lecz nietylko podłoga: stoły, służące do obiadów, nocą również zastępują łóżka.

Był półmrok, kiedym wszedł tutaj. Olbrzymią izbę słabo oświetlały dwie małe, kopcające lampki najprymitywniejszego systemu. Powietrze duszne, smrodliwe zmusiło do mimowolnego zamknięcia ust. A stosunkowo wcześniej jeszcze było. Na narach spoczywało wszystkiego jakieś trzydzieści ciał, obleczonych w poszarpane szmaty, wystawiając ku izbie stopy bosc, ohydnie brudne, lub też obute w resztki trzewików i kaloszy. Niektóre przewiazane szpagatem. Głosy ginęły w mroku. Czasem trudno było rozeznac: człowiek to, czy kupa łachmanów.

Stojący pośrodku izby długi stół, w połowie już zawalony śpiącymi, w wolnej części obsiedli ci, którym było mniej pilno kłaść się na spoczynek. Jedząc chleb suchy, gawędzili.

Wentylacji żadnej. Zamiast umywalni — wąskie korytko, a ponad niem niewielki rezerwoar, z którego w pięciu miejscach za pociśnięciem zatyczek sączy się skąpo woda. Ustepu — ani śladu.

Jeszcze gorszy widok przedstawia oddział kobiecy, znacznie ciasniejszy i duszniejszy, a równie brudny. Wszystkie kąty zajęte. Stare, wyniszczone, okropne twarze, podnoszą wrażenie jakiegoś piekielnego lochu.

A zauważyć trzeba, że mamy obecnie lato, że wielu bezdomnych spędza noce na świeżem powietrzu, w zaroślach pagórków podmiejskich. Lecz wystawmy sobie, co tu się dzieje zimą. Gdy nietylko liczba lokatorów podwaja się i potraja, ale wszystko to schodzi się w przemoczonych, nigdy nie zmienianych, nigdy nie pranych szmatach. Powietrze nad ranem musi tu być wprost zabójcze. Już tem samem organizm noclegowca staje się jeszcze mniej odporny, wobec legnących się dokoła zarazków, które następnie taka żywa hodowla bakterji roznosi po mieście.

Jak na to zaradzić — mamy gotowe wzory.

Nie trzeba po nie zbyt się daleko zapędzać. Na londyńskie pałace ludowe czas jeszcze. Spójrzmy choć na to, co uczyniono w Petersburgu i Moskwie. Urządzono tam miejskie przytułki noclegowe w ten sposób, by nietylko dawały one swym lokatorom względną wygodę, ale by równocześnie unieszkodliwiały ich pod względem sanitarnym.

Przedewszystkiem więc zaprowadzono bezwzględna czystość tak samego pomieszczenia, jak i osób w niem nocujących.

Podłogi i nary dano z materiału, który myć łatwo. I mycie to odbywa się codziennie przy pomocy odpowiednio umieszczonych kranów. Każdy noclegowiec ma oddzielne miejsce i od sąsiada swego znajduje się w pewnej odległości. Nadto nie wolno mu wejść do sypialni, póki się nie wykąpie, a jedzenie jego nie ulegnie dezynsekcji. W izbie wolno lokatorom pozostawać tylko przez noc (u nas spędzają tam nieraz tygodnie całe). W dzień podlega ona dokładnej wentylacji.

Tym sposobem przytułek nietylko przestaje być rozsądkiem chorób, ale przeciwnie — działa profilaktycznie.

Czy coś podobnego jest u nas możliwe?

Rachunek odpowiada twierdząco.

Przedewszystkiem wiemy, że owe nory-zajzdy prywatne dają stosunkowo daleko większy dochód, niż najprzedniejsze hotele. Sążeń sześcienny opłacany jest tu znacznie wyżej. Ale, pomijając owe przedsiębiorstwa, oprzyjmy wyliczenia na istniejącym przytułku. Sypialnia męska, którą opisałem wyżej, gości latem od 40 do 60 osób dziennie; zimą — od 80 do 130. Opłata wynosi 3 kop.

Przypuśćmy, że przeciętnie frekwencja dzienna stanowi 85 osób; to znaczy, że dochód dzienny wyniesie rb. 2 kop. 55. Rocznie da to rubli 930 kop. 75.

Jeśli dodać do tego jeszcze conajmniej połowę, którą przynieść może oddział kobiecy; jeśli uwzględnić sezonową frekwencję pątników, a wreszcie i osób, szukających dziś schronienia po ostatnich zarządach, i gotowych wzamian za pewne wygody płacić po 10 i 5 kop. za nocleg: przyjdziemy do wniosku, że higieniczny barak miejski, wzniesiony gdzieś na krańcu miasta, mógłby być prowadzony prawie bez żadnej straty, a w każdym razie nie obciążałby zbyt budżetu miejskiego.

B. H.

W sprawie teatru działowego.

(List do Redakcji).

W № 10 „Przeglądu Wileńskiego“ zamieszczony był artykuł p. Quisa p. t. „Co skrzeczy plotka?“ Autor, przewidując oddanie teatru wileńskiego na przyszły sezon działówce artystów, czyni tej ostatniej rozmaite zarzuty i do przedsiębrania takiej imprezy odmawia jej kwalifikacji.

Na jakichże motywach opiera się sąd p. Quisa? Oto twierdzi on, że: „Działówka jest instytucją dorywczą, bezidejową, absurdem byłoby wymagać od jej uczestników, aby nie prowadzili teatru w sposób rabunkowy“. Dalej zaś czytamy: „Działówka w żadnym razie nie zapłaci honorarium dramaturgowi, w żadnym razie nie sprawi dekoracji, w żadnym razie nie sprawi kostjumów do sztuki historycznej, bo honorarium uszczupla jej wspólną kasę, bo o ile dekoracje i kostjumjerna dla pojedynczego poważnego kierownika mają zawsze dużą wartość, dla zjednoczonej działówki są bez wartości, bo i cóż, w jaki sposób gromadka artystów, rozpraszająca się po sezonie,

dzielić się będzie dekoracjami, lub kostjumami, wreszcie meblami i rekwizytami?“

Tak przedstawiają się główne zarzuty p. Quisa. Rozpatrzmy ich wartość. A więc przedewszystkiem, co to znaczy: „Działówka jest instytucją dorywczą, bezidejową“. Istotnie, dotąd znamy tylko działówki dorywcze. To jednak wcale nie dowodzi, by nie mogła powstać kooperacja aktorska, obliczona na dłuższy żywot. Zrzeszanie się pracowników jest dziś wogóle mało jeszcze rozpowszechnione. Wszakże we wszystkich dziedzinach pracy zapowiada rezultaty jaknajlepsze; w niektórych zaś zdążyło już wydać doskonałe owoce. Okazało się bowiem, że ludzie daleko lepiej, daleko sumienniej i ofiarniej pracują, gdy nie czują, że są przedmiotem prywatnego wyzysku, lecz wiedzą, iż służą bezpośrednio obranemu rzemiosłu, respective sztuce i własnemu interesowi.

Co się znów tyczy „bezidejowości“ działówki — to zapytać należy p. Quisa, jak frazes ten właściwie rozumieć. Jeżeli zna on choć trochę świat teatralny, może zechce nam wymienić przedsiębiorców-dyrektorów *idejowych*. Twierdzimy z całą świadomością tego, co mówimy, że z masy prowadzących teatry aferzystów można w Polsce wymienić dwie tylko osoby (Pawlikowskiego i Młodziejowską), które, zakładając dyrekcje, miały na myśli coś innego, niż najzwyczajniejszy interes. Ideowość przeciętnego dyrektora teatru nie różni się niczem od ideowości najzwyczajniejszego kupca, lub przemysłowca, a jego sumienie artystyczne zamknięte jest w kasie. Jeżeli niektórzy przedsiębiorcy — zwłaszcza dzierżawcy wielkich teatrów miejskich — sprzeniewierzają się poniekąd istotnemu swemu ideałowi i pęd do robienia majątku przyzwoicie hamują względami artystycznymi, to osobista ich zasługa jest w tem minimalna. Polega ona na konieczności liczenia się z opinią publiczną i wymaganiami zawieranych kontraktów. We Lwowie i Krakowie np. dzierżawcy teatralni z góry mają wymienione, ile sprawić są obowiązani nowych kostjumów i dekoracji, oraz w jakim stopniu konserwować otrzymany od miasta inwentarz.

Pozatem istnieją komisje repertuarowe, no i wreszcie prasa o tyle liczna, że w tłumie recenzentów znajduje się zawsze jeden lub dwóch ludzi poważnych, z którymi bezwarunkowo trzeba się rachować.

Są to środki, dające się stosować równie dobrze do przedsiębiorcy prywatnego, jak do działówki. Wszystko zależy od tego, jaką umowę zawrze nasze Towarzystwo Popierania Sceny.

Tem samem więc upada zapewnienie p. Quisa, jakoby działówka nie mogła prowadzić teatru inaczej, jak w sposób rabunkowy. Powiemy nawet przeciwnie: łatwiej ją do tego zmusić, niż zwykłego antreprenera. Składa się ona bowiem z pracowników, w większości ludzi młodych, którzy daleko mocniej pragną dużo grać, niż dużo grosza odkładać. Wystarcza im do zupełnego zadowolenia, mieć jakotako byt zapewniony i środki na przeżycie czasu przymusowego próżniactwa.

Bezprzedmiotowem staje się więc twierdzenie, jakoby działówka w *żadnym razie* nie sprawiła dekoracji, kostjumów i nie zapłaciła dramaturga, bo to uszczupla jej wspólną kasę. Jeszcze mniej prywatny dyrektor będzie skory do ponoszenia wydatków, uszczuplających jego kasę. A okoliczność, że działówka, na wypadek rozbicia się nie ma pociechy z rekwizytów, podnosi tylko szanse Tow. Popierania Sceny, które, stawiając dyrekcji odpo-

wiednie wymagania przy zawieraniu umowy, dojść może do posiadania własnych kostjumów i dekoracji.

Działówka ubiegłego sezonu zimowego, sprawiła dekoracji, mebli, kostjumów i t. d. za sumę 1,900 rubli, pamiętać jednak trzeba, iż obejmując teatr, otrzymywała koncesję tylko na 3 miesiące. Proszę pokazać dyrektora, któryby w tych warunkach za taką sumę sprawił nowych utensylii. Wreszcie co się tyczy repertuaru, gry artystów, reżyserji etc... — to wszystkie słuszne w tym kierunku wymagania daleko prędzej i chętniej uwzględni działówka, której członkowie są przedewszystkiem artystami, niż zwykły antreprenier, będący w pierwszym rzędzie kupcem. Streszczamy się: żyjemy w dobie prób kooperowania się wszelkich pracowników. W tej samej, mniej więcej, dobie Wilno czyni wysiłki, by oprzeć na trwałych podstawach wskrzeszoną scenę polską. Nie będąc skrepowanem rutyną, dlaczegóżby nie miało wyzyskać młodego ruchu, któremu na wszelkich polach pracy ogólnie rokuje się doskonałą przyszłość?

Zresztą — kto, jak kto — ale pismo postępowe, demokratyczne próbie takiej, sądzimy, nie powinno stawiać przeszkód.

Jan Pawłowski,

Juljan Strycharski

kierownicy teatru działowego w Wilnie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Konstanty Srokowski. *Teorje neoiredentyzmu polskiego.*
Kraków 1912.

P. Srokowski niezmiernie trzeźwy i rozumny demokratyczny publicysta krakowski czyni przegląd książek pp. Wł. Studnickiego, Tytusa Filipowicza, M — ckiego i Jana Brzozy. Wszystkie one mieszczą w sobie, mimo różnic taktycznych, teorje neoiredentyzmu polskiego, które zresztą w zasadzie nie różnią się od dotychczasowego iredentyzmu. Autor poglądy swe na teorje owe poprzedza obszerniejszą przedmową. Istnieją wedle niego dwa typy iredentyzmu. Jeden realistyczny, trzeźwy, polegający na dążeniu „do fruktyfikowania zmieniających się kolejno konjunktur politycznych i międzynarodowych“, w których realizacja ideału „stałaby się tak czy inaczej możliwą“. Drugi typ stanowi najczystsza romantykę, w której króluje niepodzielnie chimera i ten jest najbardziej szkodliwy i, niestety, u nas najbardziej rozpowszechniony.

Z wymienionych książek, z pośród autorów ich do typu realnego najbardziej zbliża się Wł. Studnicki; ale bynajmniej nie dochodzi doń. Stud. w kwestjach społecznego iredentyzmu orientuje się najlepiej i najwszechstronniej w swem ostatnim dziele („Sprawa polska“) zakrojonem na wielką skalę.

Tytus Filipowicz, lewicowy radykalista wyjaśnia w swych „Marzeniach politycznych“, że idealizm winien panować w dziedzinie celów politycznych; realizm zaś w sferze środków do celu tych. Filipowicz uzależnia kwestję Polski wyłącznie od losów Rosji. Temu kategorycznie przeczy p. Srok. twierdząc, że dla Prus, a przez nie i dla

Niemiec, kwestja Polski jest o wiele ważniejszą niż dla Rosji. Bo dla Prus, których znaczna część zbudowana jest właśnie na historycznych ziemiach Polski sprawa ta stanowi kwestję bytu. Rosja bez Polski będzie niemniej Rosją, może nawet silniejszą.

Obszerne prace pp. M—ckiego i Jana Brzozy należą do kategorii utopji i są bezmyślnym przedrzeźnianiem—jak twierdzi p. S. — niedawnej przeszłości. Rozwodzi się jednak nad niemi dlatego głównie, aby ewentualni czytelnicy pozbawieni samodzielnej myśli, przyjmowali owe ideje z dobrodziejstwem inwentarza.

Dr. Władysław Horodyski. *Cywilizacja i Życie* (Teorja E. Majewskiego). Warszawa*).

„Nauka polska może dopisać do swego bilansu nową i świeżą cyfrę“. Temi słowy rozpoczyna autor obszerny tomowej objętości komentarz do dzieła Erazma Majewskiego: „*Nauka o cywilizacji—Prologomena i podstawy do filozofji dziejów socjologii*“. Wyszło tej nauki tomów dwa (t. I już w drugiej poprawnej edycji), a wyjdzie jeszcze tom III i IV); tamte wydrukowane w przekładzie francuskim, tłumaczone są obecnie na język angielski. Tomy I i II „zostały w przekładzie francuskim rozchwywane i doczekały się niezwykle pochlebnych ocen głów koronowanych w socjologii“, wedle słów dr. H.

Ścisłe napisany komentarz dr. Horodyskiego ilustruje i dzieje poglądów różnych wielkich uczonych i ich szkół w dziedzinie socjologii; poczem przystępuje dr. H. do definicji socjologicznego poglądu Majewskiego. Autor jest widocznie szczerym i gorącym wyznawcą Majewskiego i choć w drodze swego rozumowania czyni pewne zastrzeżenia, ale i one nie są właściwie sporem lub negacją, lecz jakby nowym argumentem do tem silniejszego uwidocznienia oryginalnych teorii autora „*Nauki o cywilizacji*“. Teorie zaś Majewskiego różnią się znacznie od stanowiska biologicznej szkoły socjologicznej, a metoda jego jest przyrodniczo-porównawczą; wykazuje on w obszernych wywodach znaczną niecisłość analogji między społeczeństwem a organizmem wedle teorii Spencera i tożsamo i innych Lehmana, Pascala, Tarde'a, uważających historję bohaterów, osób, jako motory dziejów w jednostce twórczej.

Aby dokładnie móc poznać całokształt filozofji socjologii Majewskiego, należy poczekać na wyjście następnych tomów. Już pierwsze dwa mieszczą w sobie niewątpliwie nowe poglądy oryginalne, nowe wartości socjologiczne; o ile zaś tomy następne stanowią będą organiczną architektonicznie całość, przybędzie naukowej literaturze polskiej dzieło istotnie niezwykłej wagi i doniosłości. Książkę zaś dr. Horodyskiego czyta się z zaję-

ciem dzięki subtelnej djalektyce i znacznej wiedzy filozoficznej. Język, jak i u niektórych innych naszych nawet wybitnych na filozoficznym polu pisarzy — zaniedbany.

D. Zgl.

Saitschick Robert profesor. *Ludzie i sztuka odrodzenia włoskiego*. Przekład z upoważnienia autora Marji Kreczowskiej. Kraków—Warszawa Gebethner i Wolff. 1911.

2 tomy, str. 312 i 260.

Jest to książka popularna, poświęcona ogólnikowej charakterystyce obyczajów, panujących we Włoszech w wieku XV i XVI-ym oraz charakterystyce wybitniejszych osobistości, jakie się w tym okresie odznaczyły na polu sztuk plastycznych i literatury. Nie brak też rozdziałów, poświęconych prądom filozoficznym i ich przedstawicielom (Duch Platona w dobie Odrodzenia, Pico della Mirandola, Giordano Bruno). Rzecz jest popularna, gdyż nie zawiera wykazu źródeł, na których się charakterystyki opierają, nie podaje odsyłaczów, z których pomocą możnaby kontrolować poszczególne rysy, jakie autor podaje. Charakterystyki podane ograniczają się do najogólniejszych rysów danej epoki, a że nie są poparte żadną ilustracją, więc mało mogą dać temu, kto by się chciał tylko z tej książki zapoznać z duchem Odrodzenia. Charakterystyki osób poszczególnych najczęściej niepoparte ustępami z dzieł lub faktami konkretnymi tak, że i w nich znowu czytelnik musi ślepo wierzyć ogólnikowym twierdzeniom autora. Twierdzenia te, o ile się tyczą poszczególnych postaci, są to głównie entuzjastyczne pochwały, których jest tak wiele, a tak się mało różnią od siebie, że czytelnikowi zaciera się kontury indywidualne poszczególnych postaci, a pozostaje mu niejasna mgła ogólników.

Mimo to książka może przynieść pewien pożytek np. uczniom gimnazjalnym, o ileby już skądinąd otrzymali pewien substrat z dziedziny odnoszących faktów politycznych i zjawisk kulturalnych, ujętych w związek przyczynowy i oznaczonych datami. I tym jednak bez porównania więcej dadzą np. prace Chłędowskiego. W tłumaczeniu razi niedbała korekta i błędy w odmianie imion własnych. O całości trudno powiedzieć, żeby, jak powiada program wydawnictwa: wnosila w społeczeństwo świeże myśli, otwierające rozległe widnokręgi postępu duchowego. Myśli bowiem prof. Saitschicka są bardzo stare, a postęp duchowy to rzecz bardzo względna.

Dr. Władysław Witwicki.

„Ruch filozoficzny“.

PRASA POLSKA.

— „Świat“ rozpoczął druk szeregu wywiadów p. W. Baranowskiego z wybitnymi politykami rosyjskimi o sprawie polskiej. Z serji dotychczas ogłoszonych rozmów zasługuje na specjalną uwagę enuncjacja p. Guczkowa, który po raz pierwszy odsłonił swe zapatrywania na stosunki polsko-rosyjskie. O ile wynurzenia lidera październikowców są szczerze — jest to wielkie pytanie, że są natomiast bardzo sprytne — to nie

*) Niektórzy nasi wydawcy, idąc karygodnymi śladami wydawców zagranicznych, zaprzestali na tytułowych kartach książki swoje datować. Czynią to dlatego, aby czytelnik nie mógł się połapać czy książka wyszła wczoraj czy przed kilkoma laty. Tym zaś brakiem datowania czynią krzywdę krytykom, pośrednio bibliografom i historykom literatury. zwłaszcza, gdy chodzi o dzieła wybitniejszej wagi. Nie jedna książka ma kilka edycji, krytyk lub historyk lit. winien wiedzieć jaka przestrzeń czasu dzieli jedną edycję od drugiej i które (inne dzieła) w międzyczasie tym autor pisał, drukował, w jakiej dobie życia. A odleglejszej przyszłości historyk nie będzie wiedział co z tym fantem począć i t. d. Należy koniecznie zarzucić ową inowację. Niechaj autorowie w interesie własnym umysłowym, upomną się o krzywdę i jej energicznie zapobiegają.

ulega wątpliwości. Szczególniej ustęp końcowy czyni wrażenie głosu syreny, który może sprowadzić na manowce bardziej naiwnych naszych polityków. P. Gucezkow w konkluzji oświadczył, co następuje:

„Ja osobiście, gdy spoglądam na ubiegłe lata w Dumie, z żalem spostrzegam, iż nie wypracowaliśmy pewnego planu co do stopniowego łagodzenia, czy jak pan chce, układania stosunków polsko-rosyjskich... Ale to powinno być uczynione przynajmniej w następnej Dumie. Mogłaby z niemałym pożytkiem utworzyć się w tym celu niby wspólna rosyjsko-polska komisja, nieoficjalna, oczywiście, ale rozważnie i taktownie zmierzająca do obmyślenia i osiągnięcia warunków zgody dwóch narodów. Żywioły do zgody jakieś chętne są, ja wiem, w Polsce. Oby więcej jednak dawały znać o sobie. Każdy ich krok, pomyślany rozważnie i uczyniony z dobrą wolą, odbija się u nas dobrem echem i chwilę porozumienia przybliża... Taktu politycznego nie mogą odmówić i Koła Polskie w Dumie... Jako zbiorowisko ludzi, dobrze dobranych, Koło to każe się szanować... Szczególniej człowiekiem ogromnego talentu był Dmowski... Osobiście byłem i jestem szczerym jego zwolennikiem... choć mam mu do zarzucenia kilka też zbyt licznych występów. Wogóle polaków w Dumie ponosi czasem bez potrzeby opozycyjność. Gdy tymczasem korzyść istotną przynieść może im silne podkreślenie raczej stanowiska szczerze państwowego. Tak np. nie zapomniał nikt dobrze myślarzy, iż taki projekt nowej ustawy wojskowej przeszedł przeciwko głosom prawicy, centrum i Koła Polskiego. Oby faktów takich było więcej“...

Na ten ustęp zwraca uwagę „Dziennik Petersburski“, nazywając go słusznie „najobłudniejszym i najniebezpieczniejszym“, z tej wskazówki bowiem może być wysnuty program dla reprezentacji polskiej w Dumie.

„Naszego Koła Polskiego nigdy nie „ponosiła opozycyjność“, przeciwnie, nieraz wbrew opinii publicznej w Królestwie Polskiem stroniło ono od opozycji i choć p. Gucezkow twierdzi, że uważano to za cnotę do nagrody, jednak pięcioletnia rzeczywistość zaprzecza temu.

Nawet owo przeprowadzenie ustawy wojskowej głosami centrum i polaków, za które p. Gucezkow dotychczas czuje wdzięczność dla p. Dmowskiego, jako rezultat dało tylko i wyłącznie obcięcie liczb mandatów polskich. (Sądźmy, iż p. Gucezkowowi chodzi o słynną ustawę wojskową z II Dumy, gdyż projekt nowej ustawy wojskowej bynajmniej nie został przeprowadzony głosami centrum i polaków).

A więc z najważniejszych kwestji wykręca się p. Gucezkow sianem, a pozatem daje wskazówki, które mogą wprowadzić tylko dezorientację do polityki polskiej, popchnąć ją na manowce, które oprócz poniżeń moralnych, żadnych skutków realnych w zamian nie dają“.

Że obawy podobne nie są płonne, dowodem jest ostatnie wystąpienie w Dumie Koła Polskiego w sprawie projektu sądu miejscowego, skarykaturowanego przez Radę Państwa. Opozycja żądała, wobec zasadniczych zmian, poczynionych przez Radę Państwa, odesłania projektu do komisji dla ponownego rozpatrzenia. Centrum z p. Gucezkowem na czele domagało się natomiast omawiania go natychmiastowego in pleno, aby móc się pochwalić uchwaloną reformą przy zbliżających się wyborach. Koło Polskie poparło październikowców... Nie jest wykluczonem, że wabik p. Gucezkowa podziałał skutecznie...

— Ostatnia gościna rosyjskiego teatru Stanisławskiego w Warszawie odbiła się na łamach „Prawdy“ następującym wymownym echem:

„Zuchwałość śmiechu w Polsce nie ma granic; niedość, że napastuje on najświetliwsze matrony, nie dość, że zawisa nad czołami infułatów, niby miecz Damoklesowy... Niekiedy wprost obiera on sobie siedzibę za kulisami najboleśniejszego dramatu, albo nawet tuż ponad nim. W dole łka cierpienie, a pod sufitem, w górze, najswobodniej łopocze motylemi skrzydłami gorzki, jadowity śmiech.

Widziano go raz ponad „Sadem Wiśniowym“ (dramat Czechowa), który moskiewska trupa Stanisławskiego, przez rząd popierana, wystawiła na scenie teatru Wielkiego. „Sad Wiśniowy“ jest historją rugowania zwyciężonej od losu rodziny z jej siedziby ojczyznej przez niejakiego Łopachina. Wyzucie z dachu ojeów, smutek tułactwa jest osnową sztuki, na którą patrzeć kazano Warszawie.

Aktorzy grają tak pięknie, że słuchaczom wzruszonym lzy wyciskają z oczu. Pod stropem widowni kołysze się widmo gorzkiej ironji, ale go nikt z widzów nie dostrzega“.

NA WIDNOKRĘGU.

Rozruchy budapeszteńskie, czyniące wrażenie wrzenia rewolucyjnego są jedną z tych niespodzianek, których tyle się już nazbierało w młodym wieku XX, że możnaby uwierzyć w jakąś mającą się w tem stuleciu dokonać ogólną przemianę wartości. Była to tylko logiczna konsekwencja olbrzymich prac wieku XIX, rozpoczętego przy odgłosach wielkiej rewolucji francuskiej.

Demokratyzacja społeczeństw europejskich postępuje nieubłaganie. Rozwój przemysłu dochodzi do kolosalnych rozmiarów, ilość sił roboczych wzrasta taka szybko, że wymyka się to oczom tych, którzy tem życiem nie żyją, wymyka się nawet obserwacji bystrych polityków, którzy nie doceniają nowego żywiołu, powstającego z mas ludowych drogą pracy i oświaty.

Strejk powszechny na Węgrzech w imię reformy wyborczej jest jednym z tych samych objawów, co olbrzymie strejki angielskie, co mowy posłów socjalistycznych, których jest 110, w parlamencie niemieckim, co potężne ruchy robotnicze Stanów Zjednoczonych, Francji i Włoch. Socjalizm i syndykalizm — dwie idee, dwie spójnie wielomiljonowych mas, stały się nieodłączną częścią jedną z zasadniczych treści życia europejskiego. Są one zarazem troską dyplomatów wielkomocarstwowych, którzy najczęściej obierają wobec nich politykę ignorowania. A to się mści. Zemściło się właśnie na Węgrzech — i teraz giełdowy organ „Neue Freie Presse“ woła ze zdumieniem, że „czasy nasze kryją w sobie większe namietności, niż przypuszczamy“, że „zwykłe schematy naszych zapatrywań nie wystarczają już, aby Węgrzy zrozumieć“, że wydarzenia budapeszteńskie rzuciły olśniewający błysk za kulisy węgierskich walk parlamentarnych, i że reforma wyborcza na Węgrzech stała się nieuniknioną ze względu na rozwój przemysłu i wzrost sił mieszczaństwa.

A czem się staną Węgry po takiej reformie — potem, gdy zostanie tam przyjętem — co być musi — powszechne, równe, tajne i bezpośrednie głosowanie?

Wyzwolenie mas słowiańskich z pod ucisku madziarskiego, nie lepszego od ucisku hakatystów. Wejście do parlamentu budapeszteńskiego nowych tych uciskanych żywiołów. Rozszerzenie przedstawicielstwa robotników. Zmniejszanie znaczenia żywiołu czysto madziarskiego, który, jak wiadomo, nie stanowi nietylko większości ludności na Węgrzech, ale nawet jej część tylko. Węgrów rodowitych jest około 3 milionów. Reszta to przeważnie słowianie przy znacznej ilości żydów w miastach.

Nic też dziwnego, że nacjonalizm węgierski ucieka od reformy wyborczej z tak wytrwałym

uporem, który nie cofa się nawet przed rozlewem krwi: węgry strzegą swej przewagi narodowościowej we własnym państwie. Szlachta węgierska, wielcy właściciele ziemscy i kapitaliści, którzy trzymali pod batogiem swoich praw włościan słowiańskich i robotników, długo utrzymywali swą popularność tradycjami walk o niezależność i wysiłkami dyplomatycznymi, dążącymi do zupełnej odrębności państwowej, do własnego banku, wojska i wszelkich urzędów. Ale uporczywe trwanie w hamowaniu życia szerokich mas, brak zaufania do ludu, który w znacznej części nie jest ich ludem, spowodowało nagłe bankructwo ich znaczenia. Opór wyszedł nietylko od uciskanych słowian w Chorwacji, ale też z łona samego ludu węgierskiego, z szeregów robotniczych, których krew popłynęła na ulicach stolicy i do których huzarzy niechcą już strzelać.

A było to jednak do przewidzenia. Ilość osób pracujących w przemyśle węgierskim, wzrasta jak podaje „Neue Freie Presse“, od roku 1870 z 600,000 do 2 i pół miliona, ilość kupców wzrasta czterokrotnie, a wywóz węgierski oblicza się dzisiaj na 750 milionów koron.

I to są właśnie nowe Węgry, które barykadami na ulicach Budapesztu znaczą nowe istnienie. Węgry szlacheckie, Węgry nacjonalistyczne usuwają się w mrok.

KRONIKA.

— Jubileusz uniwersytetu lwowskiego.

Uniwersytet lwowski obchodził w tygodniu bieżącym uroczystość 250 rocznicy założenia wszechnicy przez króla Jana Kazimierza w 1661 roku. Obchód wypadł wspaniale. Zakłócił go tylko wiec protestujący rusinów, na którym podkreślano prawa ukraińców do uniwersytetu lwowskiego. Jest to konsekwencja wrogiego stanowiska większości polskiej względem słusznych domagań się rusinów o własny uniwersytet we Lwowie.

— Ubezpieczenie robotników.

Wobec oczekiwanego rychłego uchwalenia i zatwierdzenia nowego prawa o ubezpieczeniu robotników, ministerjum handlu i przemysłu przystępuje do opracowania programu prac przygotowawczych, wywołanych wprowadzeniem w życie rzeczonoego prawa. Prace te będą wymagały wiele czasu i energii.

W myśl projektu samych tylko kas dla chorych robotników wypadnie założyć w całym państwie około 4 tys., a jednocześnie trzeba wypracować dla nich ustawy i instrukcje. dokonać wyborów do kas i t. d.

Prócz tego trzeba będzie utworzyć przeszło 60 urzędów ubezpieczeniowych i zająć się ich zorganizowaniem. Kierownictwo nad pracami przygotowawczymi powierzono zarządzającemu oddziałem przemysłowym pomienionego ministerjum.

— Odrzucenie interpelacji.

Na posiedzeniu komisji interpelacyjnej odrzucono, jak donosi „Riecz“, interpelację, dotyczącą nieprawego wmiśzania się władz do kampanji wyborczej.

Interpelujący powoływali się na okólnik, rozesłany przez ministra spraw wewnętrznych i umieszczony w „Rieczy“.

Referent Luc oświadczył, że gdyby okólnik taki istotnie wydało ministerjum spraw wewnętrznych, to w niektórych jego częściach możnaby było znaleźć coś nieprawego. Ale interpelujący, mówił Luc, nie stwierdzili autentyczności okólnika.

Odrzucono również interpelację frakcji s. d. w sprawie prześladowania prasy lewicowej. Poseł Poletajew oświadczył, że dzienniki „Żiwoje Dieło“ i „Prawda“ drukują się w sposób następujący: Wieczorem do drukarni przychodzi oddział policji, który nie przeszkadza drukowaniu dziennika, ale

nie dopuszcza dziennikarzy do lokalu drukarni, a skoro dziennik jest wydrukowany, to policja wstrzymuje jego wyjście, aż do otrzymania rozporządzenia z komitetu prasowego. Referent Kurakin odpowiedział, że we wspomnianych wydawnictwach jedną część ludności buntuje przeciw drugiej.

Gierasimow, Teslenko, Giegieczkori dowodzili, że policja niema żadnego prawa do drukarni i prawo konfiskaty gazet należy do komitetu prasowego, za pośrednictwem starszego inspektora.

Obydwa wnioski odrzucono tą samą ilością głosów: 13 przeciwko 7. Wszyscy październikowcy głosowali przeciw pierwszej interpelacji.

— Sprawa Kurlowa.

W piątek ubiegły I departament Rady Państwa rozważał sprawę Kurlowa, Spirydowicza, Kulabki i Werigina.

Referent, senator Turau, nie nadawał wielkiego znaczenia zarówno wyjaśnieniom powyższych 4 osób, jak i referatowi sen. Trusiewicza, kierował się zaś jedynie materiałami, które miał również w rozporządzeniu p. Trusiewicza.

Faktu roztwonienia sen. Turau nie stwierdza, natomiast w sprawie organizacji ochrony podczas uroczystości kijowskich referent stwierdza występłą niedbałość i lekkomyślność.

Doniesieniem Bogrowa ufano bezwzględnie, gdy tymczasem przy niewielkiej uwadze można było wykazać mistyfikację. Uznając tedy fakt nieczynności władzy za dowiedziony, referent żąda rozpoczęcia dochodzenia przedwstępного. Ze zdaniem tem zgodzili się również i ministrowie sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, którzy byli obecni na posiedzeniu.

Po krótkich rozprawach departament jednogłośnie postanowił wszcząć dochodzenie przedwstępne na zasadzie art. 339 i 341 kod. kar.

— Reforma wyborcza w Prusach.

Wynik głosowania nad wnioskiem wolnomyślnych, dotyczącym reformy ustawy wyborczej w Prusach, przedstawiały się inaczej, gdyby byli obecni wszyscy posłowie. Według obliczeń pism wolnomyślnych brakło bez uwiniwienia 47 posłów, w tej liczbie 13 narodowych liberałów, 33 centrowców i jeden polak; usprawiedliwiło swoją nieobecność 7 postępowców, 6 centrowców i 5 narodowych liberałów. Jak wiadomo, głosowało za zaprowadzeniem równego i powszechnego prawa głosowania 158 przeciw 188. Pisma wolnomyślne osądają nieobecnych, iż umyślnie nie przybyli, aby nie głosować z wolnomyślnymi.

— Ruch przedwyborczy.

Komitet centralny partji k.-d. wygotował platformę wyborczą, w której wskazuje, że odpowiedzialność za bieg spraw w III Dumie od październikowców przeszła do nacjonalistów i prawicy. Wielkie ideje manifestu 17 października nie zostały urzeczywistnione.

Interesy warstw pracujących zostały złożone w ofierze klicie wybrańców 3 czerwca. Powaga Dumy spadła do zera, głos decydujący przeszedł do Rady Państwa, w kraju niema poszanowania prawa, niema swobodnej działalności kulturalno-społecznej, czynione są próby odwrócenia uwagi społecznej za pomocą nacjonalistycznej zewnętrznej i zagranicznej polityki. Wyborcy powinni orzec, czy aprobują działalność III Dumy i czy pragną, aby IV była podobną do niej, czy też pragną istotnego odnowienia Rosji. Stronnictwo wolności ludu pozostaje wierne swojemu programowi oraz adresowi, złożonemu przez I Dumę. Platforma kończy się wyczeniem niezbędnych i aktualnych zagadnień, jak np. odparcie nacjonalizmu, rozszerzenie praw Dumy i t. d.

Treść numeru.

Orzeł i Pogoń — A. L.

„Walka“ — W. Moksiewiczówny.
Smutne wydarzenie (komunikat).

Listy z Warszawy — P. M.

Nędza mieszkaniowa — St. Posnera.

Pustka — A. Naworskiego.

Przytulki noclegowe w Wilnie — B. H.

W sprawie teatru działowego. (List do redakcji).

Przegląd piśmienniczy, Prasa polska, Na Widno-
kręgu, Kronika.

Odcinek: „Kochankowie“. — W. Grubińskiego.

KONKURS UPIĘKSZEŃ

- a) balkonów i okien;
- b) ogródków i podwórz;
- c) parkanów, murów i budynków

ogłasza, zwyczajem lat ubiegłych,

Wileński Oddział Cesarsko-Rosyjskiego T-wa Pomologicznego.

Warunki konkursu są następujące:

- 1) Prawo udziału w konkursie przysługuje wszystkim mieszkańcom, jako też instytucjom m. Wilna.
- 2) Teren konkursowy obejmuje wszystkie ulice w śródmieściu, jako też i na przedmieściach m. Wilna.
- 3) Nagrody otrzymają jedynie właściciele udekorowań bez względu na to, kto urządza dekoracje.
- 4) Jako materiał do upiększeń i dekoracji mają służyć jedynie rośliny i kwiaty żywe i stałe, *upiększenie kwiatami ciętymi jest stanowczo wykluczone.*
- 5) Dekoracje winny być ukończone do d. 10 sierpnia b. r., gdyż 15 sierpnia o godz. 3 po poł. odbędzie się ekspertyza.

Skład sędziów konkursu stanowią następujące osoby:

- p. D. DOBROWOLSKI, radny miasta.
- p. B. HERTZ, literat.
- p. M. KWINTOWA, członek Zarządu T-wa Pomologicznego.
- p. F. RUSZCZYC, prof.
- p. A. ZALESKI, instruktor ogrodnictwa.

Nagrody będą wydane w postaci: a) dyplomów: na medal srebrny duży, medal srebrny mały, brązowe, listy pochwalne, zaszczytne wzmianki, b) nagrody miłośników — w postaci roślin, c) nagrody zachęty—pieniężne.

Nagrodzone zostaną najbardziej udatne upiększenia balkonów, okien, ogródków, podwórz, parkanów, murów i budynków, według uznania grona sędziów honor. konkursu.

Zarząd T-wa Pomologicznego uprasza o wczesne nadsyłanie deklaracji od osób biorących udział w konkursie do T-wa (Wielka 4).

Prezes T-wa **Hrabia Józef O'Rourke.**

Za Sekretarza **Jan Jeleński.**

BARDZO DUŻA ŚCIENNA KOLOROWANA

MAPA LITWY i RUSI

(Litwa, Białoruś, Podole, Wołyń, Ukraina)

oprac. na podst. najnowszych źródeł przez J. M. Bazewicza

z oznaczeniem: miast, miasteczek, osad, wsi, rzek, gór, dróg żelaznych, bitych, gościńców i zwyczajnych z odległościami, z podziałem na gubernje i powiaty w arkuszach rb. 4, na płótnie rb. 5.50, z teczką rb. 6.75 przes. kop. 75, wern. z wałkami rb. 8, przes. rb. 1.50.

J. M. BAZEWICZ.

Warszawa, Jerozolimska № 25.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

L. KRZYWICKIEGO

W OTCHŁANI.

Rozbiór wpływów, wywieranych przez ustrój społeczny na moralność, naukę, literaturę i sztukę.

Str. 292. Cena 1 rb. 60 kop.

Dla prenumeratorów „Przeglądu Wileńskiego“ cena niższa do 1 rb. (bez przesyłki).



Poślijcie rb. 1,80 w liście

gotówką 1 rb., a 80 kop. markami poczt.

a otrzymacie obraz wielkiego formatu w ramach rzeźbionych, lub kapliczkę z muzyką wartości do 4 rubli. Kto przyśle 2 rub. otrzyma książkę p. t. „Kobieta le-karką domową“ wartości 5 rb., albo 1.50 otrzyma 2 tomy p. t. „Ojczyzna w piśmie i pomnikach“, wartości do 4 rubli. Posyłajcie zaraz całego rubla gotówką, a resztę markami pocztowemi. Obrazy i książki są wspaniałą ozdobą każdego domu, spieszcie się, bo niewielki jest zapas. Adres piszcie po polsku.

Obrazy polskie, ruskie i niemieckie.

Porto 3 razy większe jak w Galicji t. j. 80 kop.

Przyjmuje się marki pocztowe wszystkich krajów i liczy jako gotówkę. Kto życzy sobie bliższych informacji należy załączyć markę listową na odpowiedź. Proszę posyłać 80 kop. markami pocztowemi na opłacenie paczki obrazów, nieopłaconych nie wysyłam, z powodu nieprzyjęcia poniosłem znaczne straty. Stosowne nie tylko dla włościan ale dla inteligencji i dla duchowieństwa i t. p.

Proszę o wyraźny adres.

J. J. Bystryk.

w Majdanie ad Kolbuszowa Galicja-Austrja.

Kazimierz Zimmerman technik budowlany

Sumiennie i szybko wykonywa: kosztorysy, projekty domów i deko-racji wewnętrznych.

Wilno, zaułek Jurjewski d. Węctawowicza № 3 m. 9.

Czytelnia

E. Żukowskiej

Wilno, Skwer Ś-to Jerski
3, m. 5.

Otwarta jest codziennie
od godziny
11-ej do 7-ej
prócz niedziel
i świąt.

DRUKARNIA p. f. „ZNICZ“

(A. Żukowski i W. Borkowski)

Wilno, ul. Ś-to Jańska 19.



Wilno, ul. Ś-to Jańska 19.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres drukarstwa wchodzące.

CENY UMIARKOWANE.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Nossowicz Krawiec

ulica Wielka № 14, vis à vis Skopówki
Wybór materiałów krajowych i zagranicznych. Ceny przystępne. Wykończenie staranne.



POZYTYW

Radykalny środek
od łupieżu.
Przeciwnie
wypadaniu włosów.
Wzmacniający
ich proszek.
K. ERMANS i S-ka Moskwa.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 3.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i **J. Marciniak**

Pracownia kostiumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.
Wszelkie nowości.

KRAWIEC DAMSKI

E. Duboniewicz

Wilno, Ś-to Michalski zaułek d. № 4. (Z Wielkiej ul. 2-gi podjazd na lewo).

Wybór materiałów krajowych i zagranicznych.

CENY UMIARKOWANE.

Tanie wygodne mieszkania — wille

Do wynajęcia w suchej zdrowej miejscowości naprzeciwko lasu i ogrodu przytulku Olgieskiego przy ul. Wierzbowej na Soltaniszkach (Zwierzyniec) w nowo-wybudowanych, trwałych i wygodnych dwóch domach Niedaleko od środka miasta. Rzeka w pobliżu. Są mieszkania złożone z 1—5 pokoi z balkonami, wychodzącymi na las i ogród. Stajnia, szopy, sutereny, studnia — wszystkie wygody. Wiadomość na miejscu u majstra Okulewicza.

Letnisko i jednocześnie mieszkanie na zimę!
Pragnący urządzać ogrody warzywne mogą korzystać darmo z gruntów położonych obok.

Do odstąpienia

mieszkanie złożone z 4 dużych pokoi z wygodami, suche, ciepłe i widne.

Oglądać można od g. 11-ej.

Prospekt Ś-to Jerski 30 m. 5.



J. MACIEJEWSKI

Mińsk lit. Zacharzewska 70 (vis a vis hotelu Odesy).

ZAKŁAD RYMARSKO-SIODLARSKI

Siodła, wszelkie zaprzęgi, chomonta robocze, kufry,
i wszelkie artykuły podróżne i galanteryjne.

ŚWIEŻO OPUŚCIŁY PRASĘ
NAKŁADEM TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

WŁOCHY NOWOCZESNE

Dzieje ostatnich lat stu pięćdziesięciu

napisał **Pietro Orsi**, prof. historii w Padwie. Z upoważnienia autora przełożył i uzupełnił **Stanisław Posner**.

TRYPPER HONORRHEE, RZEŻĄCZKĘ i UPŁAWY
w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku wewnętrznego)

„TIELERIN“

Doktora medycyny uniwersytetu gienewskiego E. Gorochoowskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej —3 rb. bez przesyłki.

Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowym.

Adres: Д-ру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Срѣтенка, Даевъ пер. б. 1-28, кв. 3.